

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego

w Krakowie, Plac Maryacki L. 9
róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek
strejnych i angielskich, łoa strasich i rękawiczek

Sprzedawca materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

GASTON LEROUX.

BALAOO

9)

— Ze współnikiem! Z jakim współnikiem? — zawołali wszyscy z przerażeniem.

— Oh, współnik to niezwykle, gdyż potrafi on chodzić po suficie!

— Ale wreszcie, niech pan powie!

— Jeszcze nie dziś! Ale cierpliwości! Gdyby dziś wieczorem padał deszcz, jutro rano może mógłbym wam powiedzieć... Ach, gdyby spadł deszcz i rozmiękczona ziemia mogła mi dostarczyć wyraźnych odcisków, takich, jakie już odnalazłem na dachach i dla których właśnie sprowadziłem was tu, panowie. Wówczas moje badanie na wspak zbliżyłoby się do końca.

— Dobrze, ale zanim deszcz zacznie padać, chodźmy lepiej stąd — zaproponował Roubion — mogą nas podsłuchać. I gdyby nawet o ni nie robili tego, o co ich obwinia pan sędzia śledczy, mogliby nabrać o nas złej opinii, a tego należy chyba unikać.

W tejże chwili p. Jules nakazał milczenie.

— Pst! oto oni!

Rozmowy umilkły, jak nożem uciął. Wszyscy żalowali swej obecności na dachu i głośnych rozpraw. Rzucili się na brzuchy, żeby nie być dostrzeżonymi. Powoli jednak jeden po drugim podnosił głowę, by widzieć przechodzących trzech braci.

Eliasz, Hubert i Szymon przechodzili przez ulicę powoli, pewni siebie — z rękami w kieszeniach, fajkami w zębach — zajmując sobą całą szerokość ulicy Nowej. Hubert, rudy człowiek z zielonemi oczyma, szedł w środku, mając po bokach albinosów. Ulica pustoszała przed nimi... jakaś sylwetka, kryjąca się w załamaniu muru, ujrawszy ich — znikła... Głęboka cisza otaczała ich. Słychać było tylko głuchy odgłos ich kroków na bruku. Szli tak, bladzi, rudzi, w blaskach jarzącego słońca — spokojni i niczem nie wzruszeni.

Kiedy skręcili w boczną ulicę i kiedy odgłos ich kroków zdawał się już dochodzić zdaleka, Patryk rzekł do swych towarzyszy, którzy przyglądali się sobie w milczeniu, pod wrażeniem strasznego dla nich widoku:

— Mnie się zdaje, że ci hultaje nie potrzebują współnika.

P. de Meyrentin zwrócił się do Patryka, chcąc mu odpowiedzieć, gdy nagły hałas przeszkodził mu. Przyczyną hałasu był p. Bombarda, który nastraszył wszystkich swemi przeraźliwymi krzykami. Głowa pisarza wystawała z dymnika; wytrzeszczone oczy, wrzeszczące usta, zjeżone włosy wyrażały szaleństwo i niewypowiedzianą trwogę. Trzymał się z całej siły rękami brzegu dachu, ale jakaś potężna siła zdawała się go wciągać do środka.

P. de Meyrentin i jego świadkowie, na chwilę unieruchomieni zdziwieniem, poruszyli się, by pójść na pomoc nieszczęsnemu pisarzowi, ale nowe krzyki, niemniej rozpaczliwe — zatrzymały ich.

Clarice, znajdujący się w drugim dymniku, krzycząc, starał się napróżno wydostać na dach. Powoli pograżali się obaj coraz głębiej, wciąż wrzeszcząc w niebogłosy, aż wreszcie głowy ich znikły w dymnikach. Panowie, zgromadzeni na dachu, zamienili się w posagi. Zdziwienie, przestrasz, unieruchomiły ich i przygwoździły do brzegu dachu. W innych czasach krzyki zgromadziłyby na podwórzu domu i na ulicy tłumy ciekawych, teraz jednak można było krzyczeć dowoli w Saint Martin-de-Bois — nikt nosa nie pokaże! Zgromadzeni na dachu musieli zde-

cydować się na coś. Decyzja ta jednak wymagała wielkiej odwagi. Na strych można się było dostać z dachu tylko przez te dwa dymniki. Włażąc do dymnika, trzeba było wsunąć tam najpierw nogi... Ale ci panowie wiedzieli, co czeka tego, który ośmielił się to uczynić — a właściwie nie wiedzieli dobrze, co się z nimi stać może i to jeszcze powiększało ich przestrasz.

Krzyki słychać było ciągle. Można było wyraźnie rozróżnić ochryple wrzask pana Bombarda i piskliwy, przenikający głos małego Clarice. Ale co było najdziwniejsze, to brak odgłosów jakiegokolwiek walki, szamotania się — nic, tylko krzyki.

P. de Meyrentin, zapominając że jest bez binokli, odważnie zbliżył się do dymnika, w którym znikł Clarice. Dymnik ten znajdował się w pobliżu drzwi, łączących strych z dołem domu i do tych drzwi przystawiona była drabina. Sędzia zajrzał do środka, nie zobaczył jednak nic prócz ciemnego strychu, w głębi którego rozlegały się krzyki dwóch nie szczęśliwych. Nagle trzeci głos odezwał się i pokrył inne. P. de Meyrentin z łatwością poznał głos brygadiera żandarmów — zwłaszcza, iż usłyszał przekleństwo, dobrze mu znane.

Teraz wrzeszczeli, jęczeli wszyscy trzej.

Patryk nie mógł wytrzymać...

Nie miał krótkiego wzroku! I znajdował się tuż obok dymnika, przez który porwano p. Bombarda. Nachylił się więc, chcąc zajrzeć, ale zaledwie zbliżył głowę do otworu, gdy usłyszał zdanie, które o mało nie zrzuciło go z dachu — zdanie, brzmiące niewypowiedzianą nienawiścią:

— A, to ty, Patryku! Ani z miejsca!

Patryk poznał ten głos, słyszał go owej nocy straszliwej w gospodzie pod „Czarnem Słońcem“.

— Morderca! — wrzasnął. — Morderca jest tam! To jego głos... jego głos... jego głos... Morderca Blondela jest tam... tam!

I palcem wskazywał dymnik, od którego zresztą odsunął się w nieopisanym strachu.

Mer, p. Saquier, Valentin i Roubion trwali ciągle w swem osłupieniu na brzegu dachu.

Nagle głosy ucichły...

Wreszcie p. de Meyrentin poczuł przyptyw odwagi, która tworzy bohaterów nieśmiertelnych. Zapytał, czy kto z obecnych niema rewolweru. Roubion podał mu swój. Sędzia z rewolwerem w ręku podszedł do dymnika, który znajdował się prawie nad drzwiami, prowadzącymi do wnętrza domu — i począł nasłuchiwać. Nie słysząc nic, wlaźł w dymnik. Obecni przyglądali mu się z podziwem, pełnym niepokojem. Z początku wszystko szło dobrze. Mężny sędzia zagłębiał się w dymniku i już tylko ramiona i głowa wystawały nad dachem... I oto p. de Meyrentin zniżył nagle głowę i to tak szybko, że otarł się twarzą o brzeg dymnika i spadł na wznak na strych. Chciał odzyskać równowagę, ale nogi jego trafiły na otwarte w podłodze drzwi — wpadł w nie i z łoskotem zesunął się po drabinie, potoczył się po ziemi, jak kłębek. Znalazł się na platformie mezaninu, koło niego podnosili się, jęcząc i wzdychając, p. Bombarda, mały Clarice i brygadier żandarmów.

Widząc się otoczonym przez ten oddział ludzi, których uważał już za martwych, p. de Meyrentin zerwał się na swe krótkie nogi i zakomenderował:

— Bacność! Morderca jest na strychu — dymników pilnuj! Nie ujdzie nam!

Nie skończył jeszcze tych słów, gdy przez mgienie oka dojrzał przebiegający nad sobą w podskokach, po suficie, dziwny kształt ludzki, przypominający tych nadzwyczaj lekkich i zwinnych gimnastów z cyrków, którzy się kręcą, tworząc koła, słońca i gwiazdy — i zdają się nie dotykać niczego!

ROZDZIAŁ VIII.

Cera.

Wypadek ten na długo pozostał niewytłumaczonym dla wszystkich. Ci, którzy mieli dobre oczy — iak brygadier naprzykład — nie widzieli więcej, niż sędzia śledczy, to jest kształt ludzki, który jak strzała przemknął się po suficie i otwarcie wyszedł przez drzwi, które, jak na złość były otworzone...

I poza tem nic więcej i nikogo więcej nie znaleziono w domu prócz tych, którzy zeszedli z dachu, by połączyć się na dole z ofiarą napadu dla wspólnych, daremnych poszukiwań.

Trzej, którzy spadli ze strychu, byli nieco potłuczeni, ale ostatecznie nic złego im się nie stało... Najedli się tylko strachu, tak, że dzwonili zębami.

Opowiadali, że jakieś ręce z niesłychaną siłą schwyciły ich, zgnioty, ubezwładniły... chwyciły ich za gardła, dusząc... Nie byli w stanie opierać się ani sekundy. Brygadier, który był bardzo silny — chciał się bronić — został porwany w ciemności, jak i inni, i rzucony o ziemię. Wreszcie, łaskawie pozwolono im spaść przez drzwi od strychu.

Wszyscy trzej zdawali się wierzyć, że mieli do czynienia z jednym, jedynym człowiekiem, który zresztą po ciemku — wydawał się olbrzymem.

— Jeden człowiek! Ale jeden człowiek nie mógł mieć trzech rąk, które trzymał was za gardła! — wykrzyknął sędzia.

Co do niego, to — schodząc przez dymnik na strych — poczuł, jak jakaś ręka załaskotała go po brzuchu. Dlatego skurczył głowę i uderzył się twarzą o krawędź dymnika. Wreszcie ta ręka sięgnęła prosto do kieszeni jego kamizelki i p. de Meyrentin stwierdził, że skradziono mu zegarek!

Sędzia nie wahał się oznajmić o popełnionej kradzieży, gdyż zegarek był z fałszywego złota...

Patryk powrócił do domu wujka bardzo rozstrojony, co zresztą było łatwo zrozumiałe. Wszyscy uczestnicy posiedzenia na dachu otrzymali rozkaz zachowania zupełnego milczenia o tem, co zaszło. Patryk, podczas całego obiadu, nie otworzył ust.

Miał szczerzy zamiar trwać w swem milczeniu aż do chwili odjazdu. Nie chciał rozmawiać nawet z Magdaleną... Miał dosyć tego wszystkiego!

Jednakże gdy Magdalena, bardzo smutna, mówiła mu „dobranoc“, zapytał ją półgłosem, czy bracia Vautrin byli dobrymi gimnastykami. Odpowiedziała mu, nie kryjąc zdziwienia, że podczas różnych uroczystości trzej bracia zadziwiali wszystkich zręcznością, z jaką wykonywali ćwiczenia.

— Dlaczego pytasz mnie o to? — dodała.

— Tak sobie — odparł mruklawie Patryk.

Odeszła z zaczerwienionemi oczami. Coriolis był już u siebie w wieży.

Patryk usłyszał w kuchni głos Zoe i zaszedł tam. Gertruda zajęta była swemi rondlami, Zoe, siedząc przy dużym okrągłym stole, naprawiała pończochy i skarpetki. Miała ich cały pęk obok siebie w koszyczku. Patryk zajrzał bezwiednie do koszyka.

I nagle ujrzał coś!

W koszyku była skarpetka „człowieka, który chodził głową w dół“. Widział ją wyraźnie, poznał wielką, jak dwudziestofrankówka cerę, niedbale obrzucaną! I wyciągnął szybko rękę, chcąc ją schwycić. Ale zetknął się twarzą w twarz z Zoe, która zbliadła i gwałtownym ruchem schowała koszyk za siebie. Patryk zdumiał się postawą dziewczyny, ale nade wszystko żałował swego nieostrożnego ruchu. Powinien był mieć się na bacności wobec siostry Vautrinów; ale czyż mógł przypuszczać, że znała ona wartość przedmiotu, który tak gwałtownie zwrócił jego uwagę?

Nie, to było niemożliwe, żeby ta mała mogła się czego domyslać! Przecież w takim razie nie byłaby tak głupia, żeby pokazywać te skarpetki, tak wiele mówiące, publicznie.